

Temat tygodnia

- 12 Katarzyna Zdanowicz
Grzechy szkolnych reform

Polityka

- 16 Jacek Żakowski
Urok lewicy i dojrzałości
19 Rafał Kalukin
Kręte ścieżki polityczne Jarosława G.
22 Wojciech Szacki
PiS przed zjazdem

Społeczeństwo

- 24 Prof. **Janusz Czapiński** o tym, od czego zależy ludzkie szczęście, o „polskich genach” i odpowiedzialności za nie
27 Marcin Kołodziejczyk
Książd Hojół z Rabki: bohater czy antysemita?
30 Marta Mazuś
Narodowe fascynacje młodych kobiet
34 Piotr Pytlakowski
Ofiara nieuprawianego hazardu

Rynek

- 36 Rozmowa z prof. **Jerzym Osiatyńskim** o sygnałach płynących z gospodarki: czym się cieszyć, a czym martwić
39 Bartosz Piłat
Nowe prawo wodne zaboli

Świat

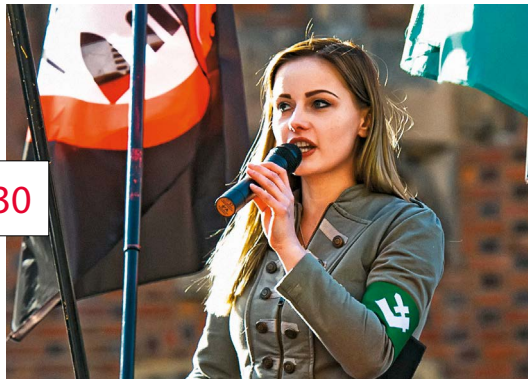
- 46 Marek Ostrowski FRANCJA
Zwycięskie wybory Macrona
49 Dariusz Kałan WĘGRY
Co węgierska opozycja radzi naszej
52 Paulina Wilk INDIE
Yogi Adityanath: guru ekstremistów
54 Adam Krzemiński ESEJ
100-lecie Ameryki w Europie

Historia

- 58 Jarosław J. Szczepański
Jedyny taki – Tadeusz Jedynek



Rząd PiS – rekonstrukcja czy po staremu



Morowe dziewczyny



Król Macron Pierwszy



300 lat masonów

- 61 Jerzy Besala
Masoneria jawnie tajemnicza

Nauka

- 64 Entomolog prof. **Dave Goulson** o sympatycznych trzmielach i tym, dlaczego powinniśmy o nie dbać
66 Paweł Walewski
Skarb w jelitach
68 TECHNOECHO

Kultura

- 74 Aneta Kyzioł
Kino nowego feminizmu
78 Rozmowa z architektem **Robertem Koniecznym**, którego biuro otrzymało Nagrodę Architektoniczną POLITYKI za 2016 r.
81 KAWIARNIA LITERACKA
Krzysztof Siwczyk
82 Jędrzej Winiecki
Bernd Heinrich: przewodnik po naturze natury
85 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego

Ludzie i style

- 86 Aleksandra Żelazińska
Wstyd w sieci i poza nią
88 Michał Zając
Kim jest „Wspaniała Gilly”
90 Barbara Adamczewska
ZA STOŁEM Sztuka sztuców
92 Urszula Schwarzenberg-Czerna
Niezmapowany świat wciąż istnieje

Na własne oczy

- 100 Ilona Wiśniewska,
fotografie Gert Oodaaq
Jaki się żyje na Grenlandii

Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski
- 6 Ludzie i wydarzenia
- 70 Afisz • 94 Passent
- 96 Chutnik i Plebanek
- 97 Tym • 98 Do i od redakcji
- 99 Fusy, plusy i minusy
- 106 Polityka i obyczaje



SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Terroryzm nie przejdzie

Mimo że nasz kraj nie nadaje się do życia dla Czechenów z powodu tego, że po przyjeździe są pozbawiani wolności i miesiącami przetrzymywani w strzeżonych ośrodkach, wielu mieszkańców Czechenii z niezrozumiałych powodów usiłuje się do Polski dostać. Nasze służby, świadome niebezpieczeństwa, jakim jest dla Czechenów znalezienie się w Polsce, robią, co mogą, żeby ich nie wpuszczać. Pewnemu koczującemu na granicy obywatelowi Czechenii, który w swoim kraju był ofiarą tortur i prześladowań, straż graniczna była zmuszona z ciężkim sercem odmówić wjazdu aż 27 razy. I pomimo ostrej interwencji Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w jego sprawie prawdopodobnie odmówi mu kolejne 27 razy, bo Trybunał Trybunałem, ale najważniejsze jest dobro tego człowieka.

Niestety, nasza straż graniczna nie działa jeszcze idealnie, dlatego nie wszystkich Czechenów starających się o wjazd do Polski udaje się nie wpuścić. Jest to przyczyną wielu dramatów, gdyż ci, którzy po wjeździe orientują się, że znaleźli się w niewłaściwym kraju, uciekają do Niemiec, skąd są następnie odsyłani z powrotem. I nic nie dają ostrzeżenia działaczy niemieckich organizacji pomocowych, którzy twierdzą, że w kontekście tego, co w Polsce widzieli, odsyłanie do niej Czechenów jest aktem nieludzkim.



Fakt, że niektórzy Czecheni zamiast skorzystać z przysługującego im prawa niewjeżdżania do Polski, nadal do Polski wjeżdżają, oznacza, że dotyczące ich procedury słabo działają. Być może lepiej będzie działał wymiar sprawiedliwości, który Zbigniew Ziobro chce odebrać kaście sędziów i przekazać suwerenowi. Na razie jeszcze nie odebrał, ale nie zmienia to faktu, że kilka dni temu suweren reprezentowany przez kierowcę autobusu firmy Ecolines wydał surowy wyrok w sprawie obywatela Togo, który chciał się tym autobusem udać z Warszawy do Berlina.

Kierowca orzekł, że ten obywatel nigdzie nie pojedzie, gdyż jest uzbrojonym w nóż terrorystą. Ponieważ kierowca ani nikt inny żadnego noża u niego nie znalazł, istniało uzasadnione podejrzenie, że obywatel Togo gdzieś go sprytnie ukrył. Na myśl, że jest on terrorystą, kierowcę naprowadził charakterystyczny dla terrorystów ciemny kolor skóry podejrzanego, a także to, że chociaż posiadał trzy torby, nie chciał zapłacić za nadbagaż, tylko żądał pokazania regulaminu.

Dworcowi ochroniarze oraz wezwani przez obywatela Togo policjanci wstawiłi się za skazanym i próbowali tłumaczyć kierowcy, że nie jest on niebezpieczny i spokojnie może jechać, zwłaszcza że ostatecznie zgodził się zapłacić za nadbagaż. Mimo to sprawiedliwość zwyciężyła, a kierowca utrzymał wyrok w mocy, dając jasno do zrozumienia, że terroryzm w Polsce nie przejdzie, a zwłaszcza nie przejdzie.

Dom Nowoczesny to program informacyjny przygotowany przez Grupę Polskie Składy Budowlane. Prezentowane są w nim najnowsze technologie i materiały wiodących producentów.

↓ **Darmowe e-booki do pobrania na**
www.domnowoczesny.com



Ciepła i bezpieczna fasada otynkowana

PAROC Linio 10

Sztywna, ogniochronna płyta z wełny kamiennej o wysokich właściwościach termoizolacyjnych to kompleksowe rozwiązanie Paroc dedykowane fasadom otynkowanym – zarówno w budynkach nowych, jak i termomodernizowanych.

Fasada ocieplona z PAROC Linio 10 to fasada:

- ⊙ **Energooszczędna** – płyta posiada bardzo niski współczynnik przewodzenia ciepła $\lambda_d = 0,036 \text{ W/mK}$.
- ⊙ **Nierozprzestrzeniająca ognia** – wełna kamienna tworzy z powłoką tynkową niezwykle odporną na ogień elewację.
- ⊙ **Cicha** – porowaty materiał znacząco poprawia standard akustyczny ścian i zwiększa komfort mieszkaniowy.
- ⊙ **Wytrzymała** – płyta nie gromadzi wilgoci i nie reaguje na zmiany temperatury, uzyskując wysoką stabilność wymiarową na przestrzeni lat.
- ⊙ **Łatwa w wykonaniu** – wysoce stabilna i lekka płyta tworzy gładką powierzchnię bazową do zaprawy tynkarskiej, także w przypadku nierównych powierzchni ściany nośnej.



Dusza Mariusza Młota



Jerzy Baczyński

Jest jasne, że rząd polski, bez względu na ewentualne sankcje, żadnych uchodźców w systemie unijnej relokacji nie przyjmie. Zresztą, uchodźcy i migranci z obozów i tymczasowych kwatery w różnych krajach Europy Zachodniej są na ogół dość dobrze poinformowani o tym, gdzie warto, a gdzie nie warto się osiedlać, i do Polski raczej dobrowolnie nie przyjadą. Nawet gdyby organizacjom humanitarnym czy Kościołowi udało się ściągnąć jakąś grupę, choćby na leczenie, będą tu narażeni na akty agresji. Jeśli wpisy internetowe są jakimś odzwierciedleniem społecznych nastrojów, nad Polską wisi atmosfera pogromu. Dziś trzeba się martwić przede wszystkim nie o nieobecnych uchodźców, ale o tych nielicznych, zwłaszcza fizycznie rozpoznawalnych „obcych”, którzy już na terenie Rzeczypospolitej są. Nie wiem, czy żyjący tu cudzoziemcy, szczególnie muzułmanie, są świadomi, że w Polsce nie jest już tak samo jak przed rokiem czy dwoma, że władze tego kraju i ich aparat propagandy „czystość etniczną” podniosły do rangi ideologii państwowej.

Partia rządząca nawet nie ukrywa, że wokół hasła obrony Polski i Polaków przed uchodźcami zamierza budować swoją kampanię polityczną przez najbliższe dwa lata; z prawdopodobną kulminacją w referendum połączonym z wyborami do parlamentu. To może być dobra strategia, zważywszy na łatwość wzbudzenia, nie tylko w Polsce, nastrojów ksenofobicznych i zlepiania ich z patriotyzmem. Ale ma też spore koszty polityczne, ekonomiczne, etyczne, wizerunkowe, którymi partia będzie się z nami dzielić. Dla PiS pewnie najmniej uciążliwe są koszty etyczne; i nie chodzi już nawet o demonstracyjny brak empatii czy solidarności, ale o uzależnienie sukcesu tej strategii od powodzenia kolejnych zamachów terrorystycznych na Zachodzie. Tylko w ten sposób można bowiem podtrzymywać, uwiarygodniać i importować strach. (Niemcy wymyślili określenie na swoistą satysfakcję czerpaną z cudzego nieszczęścia, które nas ominęło – *Schadenfreude*). Tu pewnym kłopotem może być coraz bardziej otwarty konflikt owego *Schadenfreude* z przekazem Kościoła, nie tylko Watykanu, ale i ważnej części hierarchii w Polsce. Z kazań kard. Kazimierza Nycza czy prymasa Wojciecha Polaka z okazji Bożego Ciała wynikało, że Kościół ma coraz większy moralny problem z akceptacją instrumentalnego traktowania uchodźców przez władze PiS.

Ale PiS nie może się ugiąć: przyjazd do Polski choćby kilkudziesięciu ofiar wojny, a zwłaszcza matek z dziećmi, gdyby udało się otworzyć tzw. korytarze humanitarne, mógłby znacznie odmienić społeczne nastroje. Taktyka „zero uchodźców na polskim terytorium”

jest więc warunkiem skuteczności straszenia hordami islamistów. Słowo „hordy” jest tu zresztą ważne, bo konotuje bezosobową masę prymitywnych, agresywnych podludzi, czyli idealnego symbolicznego wroga. Mariusz Błaszczak tak się ostatnio w szerzeniu imigranckiej grozy zapędził, że skojarzyła mu się (ze sobą?) postać Karola Młota, który w VIII w. obronił chrześcijaństwo właśnie „przed islamskimi hordami” (Mariusz Młot?). Tu z kolei pewnym kłopotem dla PiS byłoby, całkiem prawdopodobne, wycofanie się Unii z nieskutecznego mechanizmu automatycznej relokacji migrantów oraz systemu sankcji. Dla rządu jest najlepiej, jeśli Komisja Europejska sprawia wrażenie, że chce nam narzucić kwoty migracyjne, bo wtedy strach przed islamskim terrorem można miksować z retoryką obrony suwerenności i narodowego interesu (komentarz s. 10). A kłopot w tym, że strach trzeba dowieźć aż do wyborów 2019 r.

Wreszcie, są i pułapki samej retoryki. Doświadczyla tego po raz kolejny Beata Szydło, która po wykipianym sejmowym wystąpieniu „Europo, wstań z kolan!” teraz zrobiła globalną medialną karierę przemówieniem w Oświęcimiu. Zdanie „Auschwitz w dzisiejszych niespokojnych czasach to wielka lekcja tego, że trzeba czynić wszystko, aby uchronić bezpieczeństwo i życie swoich obywateli”, przejdzie do kronik pisowskiej epoki. Stosując zwykłą, typową np. dla prostych materialnych zadań analizę kontekstową, trudno mieć wątpliwość co do istoty tego przekazu: ponieważ według PiS bezpieczeństwu własnych obywateli zagrażają głównie terroryści wywodzący się spośród obcych kulturowo migrantów, więc to „uchodźcy” byliby równoważnikami hitlerowców. Wariant interpretacyjny, że imigrantów, jak Żydów, trzeba by zamykać w obozach, żeby „nie zagrażali i nie zarażali”, wydaje się dla Pani Premier jeszcze bardziej kompromitujący. Tak czy owak – moralny horror. Słowa – nawet jeśli nie taka była ich intencja – znaczą i PiS może boleśnie odczuć etyczną i estetyczną izolację również wśród europejskiej prawicy, która nie chce być posądzana o neofaszyzm. A to bardzo ograniczy rządowi, i tak nie za duże, pole manewru w polityce unijnej.

Tylko Prezes mógłby nakazać powściągnięcie języków czy rozpoczęcie jakiejś dyplomatycznej gry w kwestiach migracyjnych, ale jak właśnie zadeklarował w liście do Klubów Gazety Polskiej, każdy atak na PiS jest dowodem słuszności przyjętej linii. Jeśli tak, to znaczy, że mimo wysokiej politycznej ceny strategii straszenia uchodźcami Prezes pokłada wiarę w Polakach, a przynajmniej w swoich wyborcach. Zdaje się przekonany, że wbrew oburzeniu różnych „liberalnych środowisk” zdoła utrzymać, a nawet podnieść, poziom niechęci do obcych, wzmocnić nieufność wobec Unii, spacyfikować opór Kościoła, skutecznie zaszantażować opozycję, mentalnie domknąć Polskę w jej odrębności, wyjątkowości, swojskim rasizmie i egoizmie. I może mieć rację. Rekordowa popularność Beaty Szydło i Andrzeja Dudy, sondaże ujawniające rosnącą niechęć wobec migrantów i Unii wskazują, że być może Prezes lepiej zrozumiał duszę Polaka niż prozachodni modernisci, liberałowie, demokraci, naiwni altruści (o genetycznej polskości – s. 24). Im większą głupotę, bezczelność, pazerność, pogardę dla prawa, państwa i innych obywateli demonstruje PiS, tym wyższe i bardziej stabilne wydają się notowania partii. Spór o uchodźców jest więc w istocie sporem o polską duszę.

Jan Koza



© JAN KOZA



© EAST NEWS

Władza odlatuje

W środę ok. godz. 10.30 na lotnisku Okęcie wylądował „Księż J. Poniatowski”. Pod tą nazwą kryje się pierwszy z dwóch zakupionych w listopadzie zeszłego roku małych samolotów do przewozu najważniejszych osób w państwie. **Gulfstream G550** będzie już w rządowym biało-czerwonym malowaniu i z portretem księcia Józefa na burcie. Na płycie zostanie oficjalnie poświęcony i dopiero wtedy będzie mógł służyć polskim vipom. To dobra wiadomość przede wszystkim dla wojskowego lotnictwa transportowego, które od czasu wygranych przez PiS wyborów służyło jako powietrzna taksówka dla rządzących. – Z oficjalnej interpelacji MON wynika, że koszt przelotów rządzących wojskowymi samolotami sięgnął prawie 2,5 mln zł – mówi Czesław Mroczek, poseł PO. – Nie są to pełne dane, bo część lotów odbywała się według instrukcji HEAD, co oznacza, że w zapasie musiał czekać jeszcze jeden samolot wraz z gotową do lotu załogą. Były takie dni, że wojsko nie mogło normalnie wykonywać swoich zadań, bo musiało wozić rządzących do domu – dodaje Mroczek.

W lipcu firma Gulfstream dostarczy do Polski drugi samolot – „Generał Kazimierz Pułaski”, co powinno zdecydowanie

unormować sytuację z przewozem vipów. Oczywiście poza ministrem Macierewiczem, który upodobał sobie loty wojskową casą i niechętnie wsiada do mniejszej, ale przeznaczonej do przewozu oficjeli „Bryzy”.

Zaplanowana na środę uroczystość odbywać się będzie w cieniu piątkowej rozprawy sądowej, podczas której rozstrzygną się losy drugiego przetargu na samoloty dla vipów. W połowie marca resort zdecydował, że samoloty średnie kupi z wolnej ręki. Negocjacje zakupowe trwały kilka dni i odbywały się tylko z jednym producentem – amerykańską firmą Boeing Company. – W ten sposób ponad 2 mld zł wydano nie tylko bez przetargu, ale nawet z jawnym naruszeniem prawa, co potwierdziła Krajowa Izba Odwoławcza – dodaje poseł Mroczek. – MON dokonał wielu zabiegów, m.in. podwyższając wagę pasażerów i śrubując zasięg, żeby wymogi spełniał samolot tylko tego producenta. Zakup nie wiąże się również z żadnym offsetem, choć minister Macierewicz zapewniał, że będzie dbał, żeby takie sytuacje nie miały miejsca. W piątek okaże się, czy sąd unieważni kontrakt zawarty z Boeingiem.

Niezależnie od decyzji sądu w MON trwają już intensywne prace związane z przyjęciem nowych samolotów. W 1. Bazie Lotnictwa Transportowego, która zajmuje się obsługą przelotów vipów, zatrudnionych ma być 128 osób personelu dodatkowego. Z czasem liczba ta ma wzrosnąć do 230 osób. Jeśli uda się zrealizować wszystkie plany, polski rząd będzie miał najnowocześniejszą flotę samolotów do przewozu vipów w całej Europie. Polski rząd zażyczył sobie, żeby na pokładzie samolotów Boeing była nie tylko łączność szyfrowana, ale moduł do zarządzania państwem i armią z powietrza, określane jako Powietrzny Punkt Kierowania Państwem. JULL

KOMENTARZ

Pacjenci drugiego półrocza



Joanna Solska

Rząd PiS połyka swój własny język i zamierza pozwolić szpitalom publicznym pobierać opłaty od pacjentów za leczenie. Czyli – wraca do pomysłów, przeciwko którym partia, będąc w opozycji, zawsze protestowała. Bo, jak przekonywali jej liderzy, uzależniają dostęp do leczenia od zawartości portfela. Przypomnijmy słynny spot wyborczy z 2005 r., w którym straszono wyborców, że niemający karty kredytowej na pomoc pogotowia nie powinni liczyć. Oczywiście tylko wtedy, gdyby wygrała PO. PiS torpedował wszystkie pomysły konkurentów politycznych, które miały na celu dosypanie do publicznych szpitali i przychodni nieco prywatnych pieniędzy. Protestował przeciwko jakimkolwiek formom współpłacenia oraz wprowadzeniu prywatnych ubezpieczeń medycznych, ponieważ wtedy w systemie ochrony zdrowia zapanuje chaos, a ludzie

będą dzieleni na lepszych i gorszych – twierdził w 2014 r. Tomasz Latos, ówczesny szef sejmowej komisji zdrowia. A senator Bolesław Piecha, wcześniej wiceminister zdrowia, dodawał: „Lody na opiece zdrowotnej będą kręcone”. Mariusz Błaszczak uważał, że opieka zdrowotna powinna być całkowicie finansowana z budżetu państwa, bo większości pacjentów, którzy czekają w długich kolejkach do lekarzy, nie będzie stać na wykupienie dodatkowego ubezpieczenia.

Teraz rządzi PiS, kolejki do leczenia są jeszcze dłuższe, a projekt przewidujący wprowadzenie opłat za leczenie przygotowało Ministerstwo Zdrowia. Chce, żeby szpitale publiczne, które trafią do tzw. sieci, mogły pobierać od pacjentów opłaty za leczenie. Argumentuje, że dzięki temu placówki dorobią do chudego ryczałtu, a sprzęt będzie lepiej wykorzystany. To prawda, że publicznej służbie zdrowia potrzebne są dodatkowe pieniądze, które – według obietnic PiS – „muszą się znaleźć”. Na razie się nie znalazły, na 2018 r. też raczej nie ma co liczyć. Do dyskusji o tym, w jaki sposób powinniśmy na zdrowie płacić więcej, niż przewiduje składka, trzeba jak najszybciej wrócić. W każdym europejskim kraju, którego obywatela są w miarę zadowoleni z publicznej opieki, są jakieś formy dodatkowego finansowania z kieszeni pacjenta. Nas to też nie ominie, ale trzeba to robić z głową. Tymczasem pomysł ministerstwa grozi bałaganem.

Polisy zdrowotne skracająby ich posiadaczom kolejki do leczenia, ale sytuacja pozostałych chorych by nie pogarszała. Obecnie proponowane opłaty pogarszają. Oznaczają bowiem, że dopóki szpital ma pieniądze z ryczałtu, to leczy „za darmo”, ale jak się one skończą, czyli w drugim półroczu – trzeba będzie płacić. Tzw. płatnych nadwykonań już nie będzie. W drugim półroczu szpital publiczny leczyć będzie tylko za pieniądze albo wcale. Nietrudno przewidzieć, jak bardzo wydłużą się kolejki na początku roku. Kto żyw, będzie próbował się załapać na darmową kurację. Może się okazać, że pieniądze z ryczałtu skończą się już po pierwszym kwartale.

Jeśli natomiast szpital zechce podzielić chudy ryczałt na cały rok, to kto będzie dokonywał selekcji pacjentów? Decydował, komu należy się kuracja za składkę, a kto musi wyłożyć kasę? Według jakich kryteriów? Żadne lody, mówiąc językiem Bolesława Piechy, kręcone nie będą?

Twórcy projektu nie ukrywają, że opłaty mają na celu odebranie pacjentów klinikom prywatnym. Te publiczne, które sprzęt kupiły za państwowe, a nierzadko unijne pieniądze, będą bowiem mogły zaproponować pacjentom komercyjnym konkurencyjne ceny. Tylko że to nie będzie konkurencja uczciwa, ale dumping psujący rynek. Celem tej operacji nie będzie lepsza opieka zdrowotna dla obywateli, lecz likwidacja prywatnej służby zdrowia.

Adwokat pod presją specłużby

Ukarania adwokata oficerów wyrzuconych ze Służby Kontrwywiadu Wojskowego przez ludzi Antoniego Macierewicza żąda Piotr Bączek, szef tej służby i zaufany człowiek ministra obrony.

Bączek twierdzi, że – m.in. w wypowiedzi dla POLITYKI – mecenas Antoni Kania-Sieniawski ujawnił tajemnice jednego ze śledztw, a poza tym wprowadził w błąd warszawski Sąd Okręgowy. Według znających sprawę przedstawicieli palestry to próba wywarcia presji na adwokata, którą można kwalifikować jako utrudnianie wykonywania zawodu.

Sprawa wydaje się bez precedensu. Trudno sobie przypomnieć podobny przypadek w ostatnich latach – by służba specjalna żądała dyscyplinarnego ukarania adwokata w związku z jego działalnością i medialnymi wypowiedziami, w dodatku jedynie opierając swoje oskarżenia na spekulacjach.

Wniosek w tej sprawie Bączek, szef SKW i od lat jeden z najbliższych współpracowników ministra obrony Antoniego Macierewicza, złożył do Okręgowej Rady Adwokackiej w Częstochowie, do której należy mec. Kania-Sieniawski. Adwokat jest obrońcą i pełnomocnikiem kilku wyrzuconych z SKW oficerów i ich rodzin. Wśród jego klientów są m.in. bliscy płk. Waldemara K., który w ubiegłym roku odebrał sobie życie, nie mogąc wytrzymać presji, jakiej był poddawany w pracy. Kania-Sieniawski reprezentuje także płk. Krzysztofa Duszę oraz mjr Magdalenę E. Historię całej trójki opisaliśmy w artykule „Mali agenci” (POLITYKA 14).

Teraz – jak twierdzi mec. Kania-Sieniawski – za to, że broni oficerów, ze strony SKW spotykają go zsykany. Mówi o inwigilacji – obserwujących go funkcjonariuszy wojskowego kontrwywiadu rozpoznał jego klient, były oficer tej służby. O próbach utrudniania pracy – z jednej z rozpraw SKW próbowała go wykluczyć, argumentując, że nie może w niej uczestniczyć, bo nie posiada wydawanego przez służbę zezwolenia na dostęp do tajnych dokumentów (choć zgodnie z prawem o adwokaturze każdego pełnomocnika w tego typu przypadkach obowiązuje zachowanie tajemnicy). Opowiada też o naciskach, by wycofał jeden z wniosków dowodowych. – *Rok temu dzwoniła do mnie ówczesna radczyni prawna SKW i namawiała, bym był bardziej pomocny, a nie tylko utrudniał. Na przykład nie pisał wniosku o wyłączenie szefa SKW z jednego z postępowań, bo on jest przecież taki dobry* – twierdzi adwokat.



© ANDRZEJ HULIMKA/REPORTER

Wskardze do ORA szef SKW zarzucił mu, że rozmawiając z POLITYKĄ oraz słowackim „Dennikiem N”, ujawnił tajemnice śledztwa w sprawie tragicznej śmierci Waldemara K. Dowodów nie podaje, pisze za to, że „ocena treści przedmiotowej publikacji, uwzględniająca dokładną znajomość zeznań poszczególnych świadków, uczestnictwo w przesłuchaniach świadków adwokata Antoniego Kani-Sieniawskiego, powoływanie się przez dziennikarza na rozmowę z adwokatem Panem Antonim Kanią-Sieniawskim reprezentującym w śledztwie żonę funkcjonariusza, który popełnił samobójstwo – uzasadnia podejrzenie popełnienia przez wskazanego adwokata przewinienia dyscyplinarnego”.

SKW zarzuca również prawnikowi działanie na szkodę wizerunku służby, w szczególności funkcjonariuszy, którzy mieli wywierać naciski na płk. K. Chodzi o słowa Kani-Sieniawskiego dla POLITYKI: „zdoobyty materiał dowodowy jest tak przekonujący, że osoby odpowiedzialne za przyczynienie się do śmierci Waldemara K. już dawno powinny zostać pociągnięte do odpowiedzialności za popełnienie tych czynów”. To skłoniło Piotra Bączka do wniosku, który godny jest słynnego wątku o „parówkowych skrytożercach” z barejowego „Misia”: „co prawda nie są w tym fragmencie wypowiedzi adwokata podawane nazwiska funkcjonariuszy SKW, ale są one podawane w innym miejscu publikacji, co prowadzi do oczywistych skojarzeń »o kogo chodzi«”. Co jeszcze ciekawsze, mimo że ujawnianie informacji ze śledztwa jest przestępstwem, za które grozi więzienie, nic nie wiadomo, by SKW zawiadomiło w tej sprawie prokuraturę.

Podobną wagę mają inne oskarżenia SKW dotyczące rzekomych przewin Kani-Sieniawskiego. W jednej ze spraw

przed sądem administracyjnym, reprezentując swoich klientów, podawał ich stopnie wojskowe. Zdaniem Bączka wprowadził sąd w błąd, bo powinien podać stopnie niższe, gdyż oficerowie – płk Krzysztof Dusza i mjr Magdalena E. – zostali przez niego zdegradowani. Tyle tylko, że nieprawomocnie, a sąd administracyjny w pierwszej instancji obie decyzje o degradacjach uznał za podjęte z naruszeniem prawa i je uchylił.

Częstochowska ORA nie doszukała się żadnych naruszeń etyki zawodowej przez Kanię-Sieniawskiego i sprawa została zamknięta (szefowi wojskowej specłużby pozostaje jeszcze ścieżka odwoławcza). – *W żaden sposób nie można przypisać mu zarzucanych w zawiadomieniu SKW czynów. Nie było absolutnie żadnych dowodów ani jakichkolwiek przesłanek, by pociągnąć pana mecenas do odpowiedzialności dyscyplinarnej* – zapewnia adwokat Marcin Kubik, kierownik referatu skarg i wniosków ORA w Częstochowie. – *On mówił jedynie o słuszności racji swojego klienta. Miał też pełne prawo podawać stopnie wojskowe tak, jak je podał, bo decyzje o degradacjach nie były prawomocne.*

Zaniepokojeni działaniami SKW są przedstawiciele Naczelnej Rady Adwokackiej. – *Nie wyobrażamy sobie, by można było utrudniać wykonywanie zawodu adwokata przez składanie nieuzasadnionych skarg. Dlatego uważnie przyjrzymy się zawiadomieniu szefa SKW o popełnieniu deliktu przez adwokata, które, jak się wydaje, w głównej mierze opiera się, niestety, na domysłach, hipotezach i materiałach prasowych. Na pewno będziemy chcieli tę sprawę wyjaśnić* – zapowiada adwokat Rafał Dębowski, sekretarz NRA.

Najbardziej zdecydowanie o działaniach SKW wobec prawnika wypowiada się Marek Biernacki (PO), były minister sprawiedliwości i koordynator do spraw specłużby, obecnie członek sejmowej komisji do spraw służb specjalnych. Według niego wojskowy kontrwywiad próbuje pozbawić prawa do obrony byłych oficerów, z którymi jest w sporze. – *To skandaliczne metody kojarzące się z dawnym systemem. Widać, że szef SKW nie radzi sobie z sytuacją, którą sam wywołał. Zachowuje się tak, jakby się teleportował z PRL wprost do współczesności* – komentuje Biernacki.

Antoni Kania-Sieniawski stanowczo zaprzecza, by przekazywał chronione prawem informacje ze śledztwa: – *SKW i MON przegrało kilka potyczek procesowych w sprawach, w których byłem pełnomocnikiem, więc uderzają teraz we mnie, by odsunąć mnie od tych spraw. Ale zmierzają też do zniechęcenia innych adwokatów, by nie pomagali ofiarom nowej polityki kadrowej szefów wojskowego kontrwywiadu i resortu obrony.*

GRZEGORZ RZECZKOWSKI



Odwrót populistów?

Populistom nie wolno ulegać, ale trzeba się wsłuchać w dręczące społeczeństwo niepokoję. Bo nawet jeśli są irracjonalne, to istnieją i mają wpływ na politykę.

Wygryna prezydenta Emmanuela Macrona i jego ruchu we Francji, dobre notowania Angeli Merkel w Niemczech i przegrana Geerta Wildersa w Holandii budzą nadzieję, że fala populizmu w Europie opada. Partie populistyczne, których popularność jeszcze niedawno szybko rosła, słabną. Są rozrywane personalnymi konfliktami i tracą poparcie na rzecz mających silne struktury mainstreamowych konkurentów. Dotyczy to UKIP w Wielkiej Brytanii, Frontu Narodowego we Francji czy PVV w Holandii. Radykalizm w wielu europejskich krajach jest w odwrocie. Czy w Polsce też się cofnie?

Jednym z powodów słabnącego poparcia dla partii populistycznych są poprawiające się w Europie nastroje społeczne. Rosną pozytywne oceny UE i spada chęć do ewentualnego opuszczenia jej. Przebieg i konsekwencje brexitu mogą zaś zniechęcić do wybierania podobnej drogi. Niektórzy sądzą też, że to zachowanie Donalda Trumpa i podejrzenia o jego współpracy z Rosją czy konflikty interesów stają się przestrożą przed osobami głoszącymi zwodnicze hasła i szkodliwe obietnice.

Inaczej mówiąc, populizm w działaniu, konkretne decyzje i zachowania polityków są najlepszym ostrzeżeniem przed populistami. O ile nie jest już za późno, bo „mądry Brytyjczyk po szkodziu”, czyli po referendum w sprawie brexitu może jedynie żałować swojej decyzji przy urnie. Wpływ na nastroje mają również lepsze w wielu krajach wyniki gospodarki, które wyraźnie przekładają się już dziś na samopoczucie badanych (Pew Research Center, Eurobarometr).

Rosnący populizm pokazał także z całą dobitnością, jak dużą rolę w utrzymaniu demokracji odgrywają silne, przestrzegające zasad, instytucje: parlament, sądy, niezależna prokuratura, Trybunał Konstytucyjny. I podstawowa zgoda w społeczeństwie, że zasad demokratycznych nie wolno łamać. Populiści w silnych demokracjach grają więc zgodnie z regułami, wygrywając bądź przegrywając. Wymieniają elity, ale nigdzie nie doprowadzili do obalenia stolika, na którym toczy się gra. Zmieniali ludzi u władzy, odkręcali decyzje poprzedników, ale nie zmieniali reguł demokracji. W Wielkiej Brytanii referendum odbywało się w ramach przyjętych zasad, a ton kampanii nadawały zakorzenione od wielu lat partie. Są Najwyższy w Londynie orzekł, że nie wystarczy werdykt głosowania ludowego, aby wyjść z Unii, i obronił prawo parlamentu do podjęcia wiążącej decyzji w tej sprawie.

WUSA wygrana Trumpa oznaczała dużą zmianę polityki i wymianę sporej części elit. Ale dzięki silnym instytucjom demokratycznym nie naruszono porządku prawnego i konstytucji. Dlatego dziś prokuratorzy stanowią bronią zasad i sprzeciwiają się zakazowi wjazdu cudzoziemców, a komisja senacka sprawdza, czy w kampanii wyborczej urzędujący prezydent i jego sztab grali fair. Jeśli okaże się, że nie – zakwestionuje jego wybór i doprowadzi do usunięcia go ze stanowiska, zgodnie z obowiązującymi zasadami.

Jarosław Kaczyński i Viktor Orbán stanowią tu wyjątek, ponieważ dążą do zmiany reguł i rozmontowania instytucji demokratycznych. Prawo i Sprawiedliwość robi to pod hasłem reformy sądownictwa. Niezależność Trybunału Konstytucyjnego

i apolityczność prokuratury znikła, trójpodział władzy jest kwestionowany. W Polsce rządzący uderzają w struktury, w istotę demokracji i dlatego marsz populizmu może być trudny do cofnięcia. Stąd tak ważny jest stosunek obywateli do tych działań i postawy społeczne. Poparcie dla poszczególnych partii niewiele się zmienia, ale rośnie poparcie dla demokracji, dla organizacji pozarządowych i uczestnictwo w ich inicjatywach. Rośnie aktywność społeczna i kulturalna.

Pesymistyczne postrzeganie gospodarki kraju i jej przyszłości napędza populizm i sprzyja głosowaniu na partie radykalne. Czy zatem obecny wzrost zadowolenia Polaków z sytuacji ekonomicznej kraju oraz własnej, a także spadek bezrobocia, przekują się w poparcie rządzących? Czy wręcz przeciwnie – złagodzą populistyczne nastroje? To się okaże.

Kluczowe jest wysokie poparcie, jakim cieszy się członkostwo Polski w UE. Dla Polaków Unia jest nie tylko źródłem dobrobytu, ale też gwarantem bezpieczeństwa i obrońcą instytucji demokratycznych. PiS, rozmontowując te instytucje, nieuchronnie wchodzi w konflikt z Europą. Przekonuje przy tym, że to Unia jest wrogo nastawiona do naszego kraju. Ale postępując w ten sposób, partia Kaczyńskiego zderza się z wciąż wysokim poparciem Polaków dla Unii.

Dlatego obóz władzy musi grać na nucie antyimigracyjnej, pokazując, że broni Polaków przed „szaleństwem unijnych elit”. Bo choć w Europie i Polsce odnotowuje się poprawę nastrojów, to nie zniknęły społeczne obawy, które napędzały populizm. Lęk przed globalizacją, przed „obcymi”, splecione ze strachem przed terroryzmem i uchodźcami są silne w świadomości społecznej. Te obawy wyrażały osoby popierające brexit, Donalda Trumpa czy Marine Le Pen. Trudno je rozwiązać, ponieważ nie mają związku z liczbą uchodźców w danym kraju.

Choć Polska praktycznie nie przyjmuje uchodźców, strach przed nimi należy do najsilniejszych wśród państw UE (PEW Research Center). Można te lęki nazwać irracjonalnymi, ale nie zmienia to faktu, że są one w naszym społeczeństwie obecne i sprzyjają głosowaniu na nacjonalistów oraz populistów.

Napływ uchodźców to jeden z najważniejszych problemów, który musi rozwiązać Unia Europejska. To zasadnicza próba sprawności instytucji unijnych, ale również test na gotowość do współpracy i solidarności. Jednak program przesiedlenia uchodźców wymaga współpracy na poziomie europejskim – a im większy strach przed obcymi, tym chętniej społeczeństwa uciekają się do prostych metod. I odwołują się do własnych rządów, nie wspierając rozwiązań na szczeblu europejskim. Jednak zamykanie się i budowa murów, choć najprostsze, wcale nie wyciszają lęków. Szczególnie gdy dodatkowo napędzają je żerujący na tych obawach populiści.

Jesteśmy w kluczowym dla Europy momencie. Nie wolno populistom ulegać, ale trzeba wsłuchać się w niepokoję dręczące wiele osób. Osłabienie ruchów radykalnych nie powinno oznaczać powrotu w stare koleiny. Przeciwnie. Europejscy demokraci muszą proponować własne, realistyczne sposoby rozwiązania problemów społecznych. I co dzień do nich przekonywać.

KOMENTARZ

Nie i już



Łukasz Wójcik

Komisja Europejska rozpoczęła przeciwko Polsce, Czechom i Węgrom postępowanie w sprawie złamania unijnego prawa. Chodzi o program relokacji migrantów, pod którym podpisał się rząd Ewy Kopacz. Program ten zakłada, że do września 2017 r. państwa członkowskie Unii – wedle populacji i zamożności – przyjmą proporcjonalną część ze 160 tys. migrantów z obozów we Włoszech i Grecji. Polska i Węgry nie przyjęły ani jednego, Czechy – 12. Procedura Komisji będzie skomplikowana i długotrwała, ale może się skończyć wyrokiem Trybunału Sprawiedliwości UE i znaczącymi karami finansowymi.

Polski rząd odrzuca argumenty Komisji, tłumacząc, że m.in. nie ma sposobu, aby zweryfikować osoby oczekujące na relokację. To w wielu przypadkach prawda, choć nie tylko z powodu braku współpracy Włochów czy Greków – jak twierdzi szef MSW Mariusz Błaszczak – ale przede wszystkim ze skali tego przedsięwzięcia. Możliwości weryfikacyjne służb wywiadowczych są ograniczone, a sprawdzanie np. Syryjczyków na podstawie informacji od reżimu Baszara Asada wydaje się moralnie przewrotne. To oczywiste, że polski rząd chciałby zdecydować, kogo przyjmuje. Ale co mają powiedzieć Grecy czy Włosi? Oni też by chcieli.

Drugi argument polskiego rządu dotyczy sprawności programu relokacji. To nie działa – twierdzą politycy PiS. I mają rację: ze 160 tys. planowanych uczestników programu do początku czerwca relokowano tylko nieco ponad 20 tys. Wielu z nich już dawno zniknęło z obozów we Włoszech i Grecji – ruszyli tam, gdzie od początku planowali, czyli głównie do Niemiec. To samo stałoby się zapewne, gdyby trafili do Polski, o czym świadczą przykłady państw bałtyckich, skąd przybysze już w większości zniknęli. Można więc było zacząć ich przyjmować i pokazać Brukseli, że to zły system. Być otwartym, iść na współpracę. Funkcjonowanie w Unii wymaga prowadzenia polityki, czyli zawierania kompromisów. W sprawie relokacji polski rząd też mógłby to zrobić, wskazując na wspomniane problemy z tym programem. Ale Warszawa przyjęła, że polityka toczy się tylko na terytorium Polski, pod potrzeby krajowego elektoratu. Tak jakby wydarzenia i unijne decyzje nie przekraczały polskiej granicy dzięki naszym dzielnym pogranicznikom. Jest też, może naiwny, argument, że jeśli rząd PiS nie chce być solidarny wobec Grecji czy Włoch, to mógłby być solidarny chociaż z poprzednim polskim rządem, który podjął prawnie wiążącą decyzję o relokacji. Postawa „nie i już” najmniej popłaca. Chyba się, niestety, szybko o tym przekonamy.



© REUTERS/FORUM

Rumuński przyjaciel Trumpa

Rumunia powoli wyrasta na ważnego europejskiego sojusznika Stanów Zjednoczonych, a jej prezydent Klaus Iohannis wyjątkowo dobrze dogaduje się z nowym gospodarzem Białego Domu. Podczas zeszlotygodniowego spotkania w Waszyngtonie Donald Trump wyraźnie komplementował Rumunów, chwalił za walkę z korupcją, mówił o umiłowaniu tradycji, wspólnych wartościach i coraz bardziej obiecujących amerykańsko-rumuńskich relacjach. W odpowiedzi prezydent Iohannis przypomniał, że Rumunia jako jeden z pierwszych krajów NATO zwiększyła budżet obronny do 2 proc. PKB, a jeszcze w 2013 r. udział jej wydatków obronnych w PKB nie przekraczał 1,3 proc. Rumuni nie ukrywają, że w zamian liczą na większe zaangażowanie Amerykanów w regionie. No i oczywiście w samej Rumunii, w której już przecież od zeszłego roku działa amerykańska tarcza antyrakietowa, a **od lutego stacjonuje ponad pół tysiąca amerykańskich żołnierzy**. Rumunia szykuje się też do zakupu amerykańskich Patriotów i raketowych systemów ziemia-ziemia Himars. I jeśli umowę z Amerykanami ostatecznie sfinalizują, to staną się jednym z kilku państw NATO z bardzo zaawansowanym sprzętem. Skok byłby ogromny, ponieważ rumuńska armia przez lata była mocno zaniedbana, a część jej wyposażenia opierała się jeszcze na wzorach sowieckich. O tym, że na linii Waszyngton-Bukareszt jest ostatnio wyjątkowo ciepło, świadczy też fakt, że już na początku lipca prezydenci obu krajów znów uścisną sobie dłonie, tym razem w Polsce, w czasie Szczytu Trójmorza.

Macedonia zrezygnuje z Macedonii

Nowy premier Macedonii Zoran Zaew chce, by jego kraj przystąpił do Unii Europejskiej oraz NATO. I gotów zapłacić za to wysoką cenę.

WMoskwie na krótko aresztowano przebywających w mieście czarnogórskich posłów, a tamtejsze ministerstwo spraw zagranicznych wydało oświadczenie, że „strona rosyjska ma prawo do działań odwetowych” – to reakcja Kremla na oficjalne wstąpienie bałkańskiego kraju do NATO na początku czerwca. Teraz podobne traktowanie grozi Macedonii. Nowy premier Zoran Zaew w pierwszej podróży zagraniczną poleciał do Brukseli, gdzie oświadczył że priorytetem jego rządu jest przystąpienie do Unii Europejskiej oraz Sojuszu Północnoatlantyckiego i aby to osiągnąć, gotów jest nawet zrezygnować... z nazwy własnego kraju.

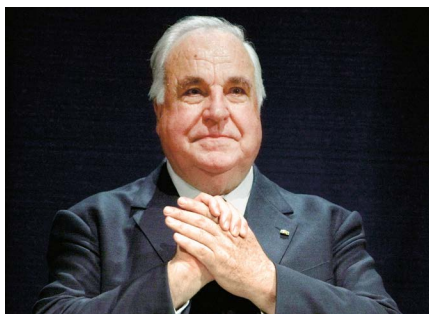
Po ogłoszeniu niepodległości w 1991 r. nowa Macedonia weszła w ostry konflikt z Grecją, której północna

provincia tradycyjnie zwie się właśnie Macedonią, a powstanie tytułującego się w ten sam sposób państwa zostało przez Ateny odebrane jako suggestia przyszłych roszczeń terytorialnych. Grecy najpierw wymogli na Skopje oficjalne określenie się Byłą Jugosłowiańską Republiką Macedonii (pod takim szyldem funkcjonuje w ONZ), a w 2008 r. zawetowali przystąpienie kraju do NATO, bo jego władze coraz częściej posługiwały się tylko dwoma ostatnimi członami nazwy. Teraz w Atenach rządzi jednak przyjaźniejsza sąsiadom lewicowa Syriza, a premier Zaew wydaje się zdeterminowany do wypracowania porozumienia – jego dyplomaci już zaczęli negocjacje z Grekami na temat możliwej kombinacji słownej, którą Macedończycy będą musieli jeszcze zatwierdzić w referendum.

Helmut Kohl (1930–2017)

Władcy mogą za życia budować sobie pomniki, a mimo to pamięć potomnych pozostanie chimeryczna. Helmut Kohl był przez 16 lat kanclerzem Niemiec i bardzo dbał, by zapamiętano go jako „kanclerza zjednoczenia” i „ojca euro”. Ale w dniu jego śmierci euro i ta UE, którą budował, trzeszczy w posadach. Zaś historycy spierają się, na ile kanclerz Republiki Federalnej był w 1990 r. reżyserem jednoczenia Niemiec, a na ile szczęściarzem, który tylko wykorzystał moment w historii. Był też „ojcem Merkel” i jej kariery, nazywał ją „dziewczynką”, póki nie odcięła się od niego w 1999 r.

O otwarciu muru berlińskiego 9 listopada 1989 r. dowiedział się w Warszawie. Przerwał swą wizytę, by być na miejscu historycznych wydarzeń, ale wrócił. I w Krzyżowcy odbyła się „msza pojednania” z udziałem kanclerza i premiera Mazowieckiego. Legenda głosi, że forsował zjednoczenie Niemiec, łamiąc opór Margaret Thatcher, zaś Mitterranda udobruchał rezygnacją z mocnej marki niemieckiej na rzecz euro, które miało dać Francji współkontrolę nad powiększonymi Niemcami. Dokumenty korygują ten wizerunek. Siłą napędową zjednoczenia



© REUTERS/FORUM

był w ogromnej mierze prezydent USA. Natomiast niewątpliwą zasługą Kohla było upieranie się wobec Moskwy przy pozostaniu zjednoczonych Niemiec w NATO.

Polska w wizji przyszłej Europy Kohla zajmowała ważne miejsce, jako przyjazny sąsiad we wspólnych euroatlantyckich strukturach. Ale – w odróżnieniu od Angeli Merkel czy nawet Helmuta Schmidta – akurat Kohl nie rozwinął bardziej osobistego stosunku do Polski, jej historii i ludzi. Był świadom – jak powiedział polskiemu ambasadorowi Januszowi Reiterowi – że jego bezpośrednim poprzednikiem na stanowisku kanclerza całej Niemiec był Adolf Hitler. Wiedział też, że uznanie granicy z Polską jest nieuniknione, ale jeszcze w 1990 r. zwlekał i kluczył. I to Hans-Dietrich Genscher, który był ministrem już w rządzie Willy'ego Brandta, podpisał w 1990 r.

ostateczny traktat graniczny. Natomiast Kohl sygnował w 1991 r. traktat o przyjaznych stosunkach polsko-niemieckich, który stał się fundamentem dochodzenia Polski do NATO i UE. I jest oparciem także dziś, gdy rządzący w Warszawie zamykają się w sobie.

Helmut Kohl, urodzony w 1930 r., lubił mówić o „lascie późnych urodzin”. Jego brat zginął w ostatnich miesiącach wojny. On sam jedynie poznał bombardowania, bo na szczęście był za młody nawet dla ostatniego zaciągu. Niemniej jego 16-letnie kanclerstwo (1982–98) przyćmiła swoista „niełaska późnego odejścia”. W czasie jego czwartej kadencji Niemcy wciąż były mentalnie podzielone, miały 4,5 mln bezrobotnych i zablokowane reformy.

A po przegranych wyborach na praktyce politycznej Kohla trwały cień położyła afera partyjnych czarnych kont – niezaksięgowane datki sponsorów chadecji, wykorzystywane do utrzymywania współpracowników w ryżach. Ta właśnie afera miała spowodować, że Helmut Kohl nie otrzymał Pokojowej Nagrody Nobla. Dodatkowy cień na charakter Kohla rzuciło publiczne zerwanie z nim jego synów – oskarżających ojca o egocentryzm i zaślepienie karierą polityczną. „Najpierw kraj, potem partia, a potem długo nic...”. Nierzadka skaza wśród polityków.

ADAM KRZEMIŃSKI



Trzymaj nogi razem!

Oto nowa odsłona wojny damsko-męskiej: tym razem chodzi

o *manspreading*. To pojęcie trafiło do słownika oksfordzkiego dwa lata temu, a Hiszpanki przejęły je w wersji angielskiej, *el manspreading*, i umieściły na liście męskich zachowań niedozwolonych. Chodzi mianowicie o siedzenie w środkach miejskiej komunikacji w rozkroku, z szeroko rozłożonymi nogami, co blokuje miejsce, egzemplifikuje postawę macho, jest rodzajem agresji, ale też ociera się o napastujący kontakt niechciany. Wszystkie te argumenty, i jeszcze parę innych, przedstawiła grupa aktywistek Mujeres en Lucha, Walczące Kobiety. Na tyle przekonująco i skutecznie, że zebrawszy spore poparcie, doprowadziły do zakazu *manspreadingu* w madryckiej komunikacji miejskiej EMT, któremu towarzyszyć będą stosowne piktoqramy w środkach transportu. Kroki podjęte w Madrycie mają charakter pilotażowy, do podobnych szykują się inne hiszpańskie miasta – i to pewnie też nie koniec. Mobilizuje się już Skandynawia. A wszystko to, jak wiele innych trendów, przyszło z Nowego Jorku, gdzie podobna kampania wystartowała w 2014 r., a obecnie trwa też w Filadelfii i Seattle.

Kość słoniowa od mamuta

Chiny wreszcie zajęły się ochroną słoni, m.in. zabraniając urzędnikom przyjmowania prezentów z kości słoniowej.

Cena kości słoniowej spada na łeb, na szyję: jeszcze w 2015 r. za kilogram płacono ponad 1300 dol., dziś jedynie 660. Największy ssak lądowy może za to podziękować Komunistycznej Partii Chin. Do tej pory to właśnie Chiny były największym rynkiem zbytu dla ozdób oraz leków robionych z ciosów tego zwierzęcia (praktycy tradycyjnej medycyny wierzą m.in., że robiony z nich proszek wzmacnia potencję). Wraz z pojemnością lokalnych portfeli popyt wzrósł tak bardzo, że w ciągu tej dekady światowa populacja słoni zmalała aż o jedną trzecią. Spowolnienie gospodarcze ostudziło tę gorączkę, ale głównie wygasły ją komunistyczne władze. Najpierw w ramach ogromnej kampanii antykorupcyjnej Pekin zabronił urzędnikom przyjmowania „prezentów” robionych z kości słoniowej, a w tym roku poszedł o krok dalej: w marcu zamknięte zostały wszystkie krajowe fabryki zajmujące się obróbką tego materiału, a z końcem grudnia handel nim stanie się całkowicie nielegalny. Hurtownicy na wyścigi pozbywają się teraz taniejącego towaru, a część producentów biżuterii próbuje znaleźć alternatywy, np. w postaci kłów mamutów, które okazują się jednak słabej jakości.

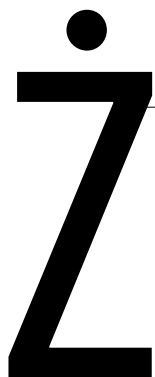


© GETTY IMAGES

Szkoła przetrwania

Koniec roku szkolnego. Początek katastrofy, zwanej przez jednych reformą, a innych – deformacją. Dlaczego nauczyciele nie stanęli do walki o swoje szkoły? I co to mówi o całej edukacji?





aden nauczyciel nie straci pracy – zapowiadała, ogłaszając swoją reformę, minister Anna Zalewska. Już wiadomo, że z pracą właśnie pożegnało się co najmniej 10 tys. nauczycieli, może więcej, a ponad 21 tys. od września będzie miało zmniejszone godziny oraz zarobki.

To dane z 14 województw, bez uwzględnienia zachodniopomorskiego i warmińsko-mazurskiego. W samej Warszawie etaty straci 1235 osób, 7 tys. pożegna się z pensum, a powita niższą pensję. Gdy portal OKO.press uruchomił licznik zwalnianych nauczycieli na podstawie danych płynących z samorządów, już w środę wieczorem, na ponad tydzień przed końcem roku szkolnego, było ich 8933.

Środowisko nauczycielskie nie obroniło się. Reforma wchodzi w życie. Do jakiej szkoły pójda uczniowie od 1 września 2017 r.? Arleta i Marcin, rodzice szóstoklasisty Bartka z niewielkiego miasta na Kujawach – jak miliony innych rodziców – nie mają pojęcia. Wychowawczynią klasy ich syna była pani ucząca przyrody, ale nie ma uprawnień do nauczania np. geografii, więc nie będzie tzw. przedmiotowcem w klasie VII. W takim przypadku wątpliwe jest, by kontynuowała pracę ze swoją starą klasą jako wychowawczyni. Nie wiadomo też, czy klasa zostanie rozdzielona i pomieszana z uczniami z innych klas, czy dzieci – tak jak chciała minister Zalewska, projektując reformę – będą się nadal gotować w tym samym sosie (większość z nich jest razem od przedszkola, jak to w małym mieście). W szkole Bartka dotychczas na jednym placu mieściły się wspólnie i podstawówka, i gimnazjum, jednak w osobnych budynkach, z autonomicznymi boiskami rozdzielonymi płotem, z innymi nauczycielami. Nikt nie odpowiedział rodzicom na pytanie, czy płot zniknie (filozofia przyświecająca reformatorom by na to wskazywała) i wtedy po boisku będą biegać sześciolatki z zerówki i 16-latkki z dzisiejszego gimnazjum; czy może zostanie po staremu?

Wielką zagadką są programy nauczania. Kiedy rodzice dociekają, czego ich dzieci konkretnie będą się uczyć w klasie siódmej, nauczyciele robią zdziwione miny. Pytają: a skąd mamy to wiedzieć? Sami drżą o swój chleb, bo organ prowadzący, czyli burmistrz, żeby ratować choćby szczątkowe etaty, połączył w jeden zespół przedszkole, podstawówkę i podlegające samorządowi liceum. Brzmi i wygląda to absurdalnie, bo czteroletnie przedszkolaki są wychowankami tej samej placówki co maturzyści, ale zabieg pozwala żonglować kadrami i zachować miejsca pracy. Do programów nauczania jeszcze nikt nie ma więc głowy – zresztą te dopiero ogłoszono (w lutym podano do publicznej wiadomości te dla podstawówek, dopiero w maju – dla liceów). Ledwo co trafiły one do uzgodnień międzyresortowych i ostateczne wersje wciąż nie są znane. W szkołach większym problemem jest tymczasem, jak poustawić godziny, przypisać nauczycieli do klas, a miejsce w szkole do uczniów, by nastolatki nie tratowały kilkulatków.

Zdaniem ekspertów to, co już wiadomo o programach, dowodzi, że wracamy do PRL w wydaniu PiS. – *Szkola będzie ideologiczna i autorytarna. Wyrósłoby pokolenie konformistów, nauczonych, że nie należy prezentować własnych poglądów* – przestrzega wykładowca na Wydziale Nauk Edukacyjnych UAM w Poznaniu prof. Stanisław Dylak, który pod koniec lat 90. pracował nad filozofią podstawy programowej w edukacji. Dokument powstawał wówczas szybko, żeby zdążyć z wprowadzeniem reformy, ale czas jego tworzenia nie był

aż tak błyskawiczny jak za rządów minister Zalewskiej. W tym wypadku pierwsze spotkania dla koordynatorów zespołów piszących podstawy odbyły się pod koniec września 2016 r., a do 11 listopada 2016 r. konsultanci mieli przestawić wstępne projekty! Te zostały przekonsultowane – czyli wywieszono na stronie MEN – w styczniu 2017 r. Resort dostał 800 uwag, niestety, tylko niewielką część z nich uwzględnił. – *Zamiast zapowiadanej zmiany na lepsze nauczyciele dostali dokument przestarzały, gorszy od poprzedniego. Uczeń ma osiągać wyniki, a nie uczyć się krytycznego myślenia, tak by zdobył wiedzę mógł wykorzystywać i modyfikować adekwatnie do zmieniających się warunków* – mówi prof. Dylak. Krystyna Starczewska, założycielka i dyrektorka warszawskiego Zespołu Społecznych Szkół Ogólnokształcących Bednarska, dodaje, że wystarczy spojrzeć na program czwartej klasy. – *Dzieci mają poznać 18 wybitnych Polaków od Mieszka I po współczesne czasy. Co one z tego zrozumieją? To zakuwanie życiorysów na pamięć* – uważa.

Nauka pamięciowa to nie jedyny zarzut wobec podstaw programowych. Uczeń, który ukończy szkołę po reformie PiS, ma być odtwórcą przekazywanych wiadomości, bez zdolności rozwijania i umiejętności interpretacji. Tak to przynajmniej wygląda, jeśli brać serio treść ministerialnych dokumentów. – *Podstawa ogranicza możliwości przerabiania na lekcji lektur doboranych przez nauczyciela spoza listy obowiązkowej. Uczniowie poznają głównie literaturę XIX w., w większości polską. Nie przeczytają więc ani jednego tekstu Szekspira* – wylicza Krystyna Starczewska. Nie ma też miejsca na reportaże, teksty o Holocauście czy dyskryminacji. Pedagodzy przewidują zapaść czytelnictwa, które od lat jest na kiepskim poziomie.

W matematyce nie przewidziano uczenia o podstawowych konstrukcjach geometrycznych, które są potrzebne przy omawianiu materiału z fizyki. Nie ma, tak potrzebnej, statystyki. Brakuje teorii Mikołaja Kopernika czy nauki o alternatywnych źródłach energii. Na chemii pominięto kwasy i zasady, biologia jest bez antykoncepcji. Prawie w ogóle nie mówi się o teorii ewolucji. Mocno ograniczono czas realizacji i liczbe godzin nauk przyrodniczych, znacznie trudniej będzie też nauczycielom posługiwać się metodą eksperymentów – a to teraz główny trend uczenia na świecie. – *Boimy się* – mówią rodzice Bartka z VI klasy. – *Nasz syn jest trudnym dzieckiem, ze zdiagnozowanym ADHD, i w gimnazjum dostrzegaliśmy wielką szansę na nowe otwarcie. Zamiast tego wypływamy na wielką, wzburzoną wodę jakąś trzeszczącą krypą i nikt nie wie, dokąd ona dopłyne. Jedno wiemy na pewno – ta reforma nie była nam potrzebna. Słony rachunek za propagandowo-ideologiczne machinacje polityków zapłać dzieci, rodzice i nauczyciele.*

A jeśli chodzi o nauczycieli, w większości krytycznych wobec nowych podstaw programowych i reformy w ogóle, środowisko poniosło porażkę tym większą, że rzeczywistość okazuje się gorsza niż ogłaszane przez związek nauczycielski czarne scenariusze. Miało być około 6 tys. zwolnień, a będzie nawet dwa razy więcej. Protesty ZNP, przestrogi o grożących zwolnieniach, nie zrobiły na nauczycielach wystarczającego wrażenia, by chcieli masowo wyrazić sprzeciw. W pokojach nauczycielskich było cicho. Walec zmian przetoczy się więc przez szkoły we wsiach, miasteczkach i metropoliach przy pełnej bezradności środowiska.

Dłaczego szumnie zapowiadany jako bomba atomowa ogólnopolski strajk nauczycieli wystrzelił jak podmokły kapiszon? Czemu niespełna połowa pedagogów zadeklarowała gotowość do protestu, a jeszcze mniejsza część do niego przystąpiła? Kilku godzinny marcowy strajk niewielkiej części szkół – organizowany zresztą głównie przez rodziców – niewielu Polaków w ogóle zauważyło. ▶